


czasu pracy, biurowego obiegu papierów, szeptów na korytarzu, perspektywy kariery szczebel po szczeblu, podwyżek po parę złotych ku zawiści konkurentów, nawet zapachu stolówki. Zateśniłem do nieprzewidywalnego, ale dającego poczucie swobody dziennikarstwa i dałem dyla do Łodzi, gdzie zaproponowano mi stanowisko redaktora naczelnego „Dziennika Łódzkiego”.

Najwięcej pracy mieliśmy przed zagranicznymi wizytami prezydenta, a w pierwszym półroczu kadencji jedna goniła drugą. Przed jego wyjazdem do USA wraz z Teresą napisaliśmy bodaj siedemnaście tekstów – od mowy powitalnej na lotnisku, przez oficjalne i bankietowe spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych, z Polsnią, środowiskiem żydowskim, biznesmenami, aż po mowę pożegnalną. Oczywiście, nie pisaliśmy z niczego, czyli z głowy; wskazówek merytorycznych udzielał nieoceniony prof. Janusz Ziółkowski w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Naszym zadaniem było napisać krótko i klarownie. – Nie pisz, Boże broń, zdań złożonych, bo Lech się pogubi! – przestrzegał Jacek. Pamiętam też wątpliwą pochwałę z jego ust, kiedy powiedział ze złośliwym uśmiechem: – Podziwiam cię, że umiesz pisać tak prymitywnie: podmiot, orzeczenie, dopełnienie i już...

Ale raz po przeczytaniu mojego tekstu zadumał się i w końcu rzekł cicho: – To naprawdę jest dobre... To było tuż po zatrudnieniu mnie w Kancelarii. Zaaferowany przybiegł wtedy z wiadomością, że za dwa dni Wałęsa jedzie do Watykanu z pierwszą wizytą zagraniczną i muszę na jutro rano mieć gotowy tekst. Wróciłem wieczorem do domu, usiadłem w kuchni, aby nie budzić rodziny, i przy zlewie – gdzie było najlepsze światło – pisałem, myśląc, co sam powiedziałbym Janowi Pawłowi II. Córka, która była wtedy uczennicą szkoły podstawowej, w pewnym momencie stanęła przy mnie i dokładnie wszystko przeczytała. A za dwa dni wysłuchała tego w telewizorze i oznajmiła: – Nasz prezydent mówi do naszego papieża moim tatą!

Aby to znów usłyszeć, pewnie raz jeszcze przyjąłbym pracę przy Wiejskiej...

Maciej Rosalak – w pierwszej połowie 1991 roku ekspert w Kancelarii Prezydenta RP, obecnie redaktor w miesięczniku „Historia Do Rzeczy”

Czyste idee, brudne czyny

Krzysztof Gottesman

Komunizm był złem i złe okazały się owoce, które wydał. Także wtedy, gdy ludzie, którzy się weń zaangażowali, byli pełni dobrej woli. Być może niektórzy byli...

Trudno znaleźć w dzisiejszej Warszawie rodzinę, która od trzech, czterech pokoleń mieszka w tym samym domu czy mieszkaniu. Sam nie potrafiłbym wymienić takich więcej niż pięć, góra dziesięć. Ba, mało jest warszawiaków w ogóle mających w tym mieście głębiej sięgające korzenie. Wojny, zniszczenia, rewolucje, a także pokojowe przemiany przemieły je kilkakrotnie. Przemieły i zniszczyły kulturowane do roku 1944 tradycję i etos, ale nie zbudowały nic nowego. Kiedy w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych XX wieku ktoś zapytał w Warszawie, gdzie jest kino Wisła, to zdecydowana większość ludzi odpowiadała, że przy placu Komuny [Paryskiej]. Plac Wilsona był pojęciem dla większości obcych. Może nawet coś jeszcze, coś gorszego. Ta większość nie widziała w nowych nazwach ideologicznego podtekstu. Tak było dla nich od zawsze.

Kiedy po 1989 roku zaczęto przywracać ulicom i placom dawne nazwy, usuwać tabliczki z patronami niegodnymi tak szczególnego wyróżnienia, od początku szło to niezwykle opornie. Zmiana rzadko była inicjatywą mieszkańców. Z czasem – co może być tematem do zupełnie innych rozważań – opór ten nie malał, ale przeciwnie, stawał się co-

raz silniejszy. Było to wynikiem nie tylko sprzeciwu środowisk popęzetpeerowskich, ale powszechniej panujących nastrojów i braku szacunku dla przeszłości.

Dziś komunistyczny pomnik Czterech Śpiących w Warszawie, noszący oficjalną nazwę Braterstwa Broni, jest traktowany przez dużą część warszawiaków jako element architektoniczny, punkt odniesienia w przestrzeni i na mapie. Prowadzona od kilku lat przez Instytut Pamięci Narodowej akcja przywracania przestrzeni publicznej wyglądu i klimatu wolnego od elementów totalitarnych – napotyka sprzeciw. Dla wielu mieszkańców polskich miast nie ma większej wartości pofatygowanie się do urzędu i „przeprowadzenie się” z Bieruta, jeśli nie na „Inki”, to chociaż na Topolową.

Ostatnio pojawiły się na półkach księgarskich – a także zostały omówione i we fragmentach przedstawione w popularnych tygodnikach – dwie książki, których lektura może ułatwić odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego mieszkańcami zbiorowej wyobraźni, także kolejnych pokoleń, są w większej mierze ludzie związani z porządkiem, który – teoretycznie przynajmniej – skompromitował się i odszedł?

Pierwsza z tych książek to wydana przez Krytykę Polityczną *Ulica cioci Oli* Aleksandry Domańskiej. Autorka jest wnuczką głównej bohaterki – Heleny Kozłowskiej „Oli”, działaczki komunistycznej od lat dwudziestych, po wojnie partyjnego aparaczyka dość wysokiego szczebla. Punktem wyjścia opowieści jest podjęta w roku 2007 na wniosek IPN próba zmiany naz-



wy niewielkiej uliczki na warszawskim Czerniakowie, której patroluje właśnie Kozłowska. Autorka nie kwestionuje zła komunizmu ani jego ofiar. Pisze tak: „Tacy jak Ciocia Ola działali z pobudek ideowych, wierząc, że ten eksperyment, który fundują światu, wyjdzie ludziom na dobre. Oni to robili nie dla siebie,

lecz dla idei”. Gotów jestem uwierzyć w prawdziwość tych słów i dobrze, że mogą zostać głośno wypowiedziane. Sam je wielokrotnie słyszałem od różnych ludzi. Ale czy dziś naprawdę zasługuje na pochwałę oddanie się idei tak straszliwej? Tym bardziej że o Kozłowskiej trudno mówić jak o komunistycz-

nym dysydencie – zmarła ona w 1967 roku. Mimo że odsunięta przez partyjnych towarzyszy na boczny tor, w ideę wierzyć nie przestała.

Druga książka to *Towarzyszka panienska*, autobiografia Moniki Jaruzelskiej, córki gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Książeczka zupełnie innej wagi, pełna pretensjonalnych opisów i luzackich opowieści o alkoholu, narkotykach i „Bogusiu” Lindzie, który nauczył autorkę, jak „techniką z palca zrobić tulipanka z butelki po piwie”. Ale jest też mowa o brodatym studencie, narzeczonym Moniki, który przychodził do domu generała z wpiętym w sweter opornikiem; o mamie, która słuchała Wolnej Europy; o tacie generale podrzucającym wydawane przez paryską „Kulturę” książki, który nie odmówił prośbie córki i pozwolił, by przetrzymywany w więzieniu Jacek Kuroń mógł wziąć udział w pogrzebie żony. „Dla mnie ważne jest myślenie człowiekiem, a nie polityką” – mówi w wywiadzie dla jednego z tygodników Jaruzelska. A ten człowiek, dodaje, „dźwiga coś, co jest bardzo ciężkie, coś, czego do końca nie potrafię zrozumieć”. Niestety, inni musieli zrozumieć...

Piszę ten tekst dzień po wyroku uniewinniającym Stanisława Kociołka z oskarżenia za grudniową masaker robotników w 1970 roku. I widzę, że jest coś, co łączy ten wyrok z oporem przed dekomunizacją (choć wolałbym słowo „humanizacja”) przestrzeni publicznej oraz wiarą, że można zachować czystość i szlachetność, realizując najbardziej totalitarne idee. Tym czymś jest nie naiwność, lecz kłamstwo i niesprawiedliwość. ❄